

na dwa

Dorota Nowak



KRK

na dwa

DOROTA NOWAK

dla Łucji i moich najbliższych

na dwa

DOROTA NOWAK

Kraków 2014

przesunięcie

a gdyby przesunąć myśl o jeden
albo o dwa
gdyby obrócić o kilka stopni
albo odbić symetrycznie w lustrze
zniekształcić przez podobieństwo
może pociąć na kawałki
złożyć w łamaną –
oddychać by można
zawrócić
i zacząć od przecięcia

na dwa

od pierwszego zdania
szliśmy dwa razy mocniej
na szczytach wieje
dwa razy silniej
ty i ja wszystko na dwa
pionowe skały ranią ręce
– pragniesz dwa razy bardziej

zawsze lubiłam poziomy
mech od strony północy
lubczyk dodawany na zielono
i rytm o poranku – na raz

gdy krótki sen starcza za dwie noce
dwa razy mocniej szukamy siebie

poczęcie

on i ona duch i materia czekają
na zmartwychwstanie
każdy początek jest inny
najlepiej gdy ziarno kiełkuje
za dnia posiane z rozmysłem

ale przecież złamaną gałązkę
można zaszczyć na pniu
rozwinie się w pełni
między brzozowymi pochodniami
dotykając Zielonych Świątek

albo zapachy łączyć warstwami
aż do zatracenia tchu
w bramie oszukać nocnego stróża
pałac za sobą najczystsze reguły

każdy początek jest inny
w poczęciu nieśmiertelności

tak samo

najpierw upewnij się że nie wolno dotknąć
wtedy na kolanie zrób miejsce na jej obraz
w lustrze wszystko wygląda naturalnie
możesz gładzić bez skrępowania i uszczerbku

na jednym kolanie milcz o skradaniu
o czekaniu na zauważenie bez słów
na drugim milcz o przenikaniu bez granic
wtuleni w wystarczająco pięknym i czułym

na kolanach milcz o miłości

dopamina

nie uciekniesz
pazurami rozdrapałeś igły sierści
pył z jej włosów pozamykał ujścia
już wiesz
prędkość nie ma znaczenia
ona rozpyła kurz spod twych stóp
w biegu
pagórki podnoszą ciśnienie
twój szczyt jest dla niej
choćbyś się wypierał przed sobą

niech boli

czterolistna biżuteria

w podarowanych listkach
nasze ty i ja na zielono
małe szczęście w srebrnej ramce

na dłoniach i ramionach
intymnie krąży zieleń –
pamięć przypadkowego dotyku

nic złego w tym że łodyżka
wygina się na kształt czułości
nie prosi o więcej niż można

dobry znak od ciebie

jeden dzień

dzień ten bez ciebie
próbuję przeżyć

jesteś w tej maleńkiej
kieszeni

lustro mówi że patrzysz
w milczeniu

pięknieję wtedy w ciszy
w ukryciu przed światem

dla ciebie
przez ciebie
z tobą

pamięć

kanapa w kolorze ecru
pamięta wrażliwość piersi
(wciąż zadziwia mnie ich moc)
byłeś na wysokości
już nic nie zatrzyma otarć
myśl upadła za oparciem
niespokojnie rozlicza się z jutrem
za mało wszystkiego za dużo
warstwy zdjęte zbyt szybko
splątały stopy opór przyciąga
niecierpliwość miesza krople

(lubisz gdy kobieta)

kanapę w kolorze ecru
przestawiamy w inne miejsce

mchy

lubiła gdy od strony wilgoci
jej ogrody porastał mech –
ocienione skupisko znaków

swoją obecność
przytwierdzała do podłoża
za pomocą chwytników

wystarczała kropla
by na jałowych wydmach
rozwinęła się darń

z zielonej podściółki
truskawki i poziomki
wyrastały dla niego

pomiędzy chwastami

nie erotyk

odkrywał powoli więcej niż
jeden raz rozmieniał na drobne
kiedy gładził rozproszone miejsca
wtedy pachniała najpiękniej

zakuwał w kajdany gasząc
światła zachęcał brakiem cienia
kiedy szyba zachodziła mgłą
wtedy pętlę wiązał w sakrament

wyłuskiwał z każdej strony
na lewym boku onieśmiał najczulej
gdy prawą dłoń liczył ślady
wtedy czerwieniały maliny

brali

przedproże

obiecał że wszystkie dźwięki
zamkną się w ciszy
rzucane w pośpiechu słowa
żarliwość dotyku za ścianą

prowadził drewnianymi schodami
między regały książek
pył i wymieszany naskórek
unosił się z podłogi osadzał na okładkach

grę bursztynowego serduszka
z przezroczystą wiecznością w środku
kupił na ulicznym straganie
podarunek nosiła jak relikwię

o miłości czytał w książkach
deltę jej ud ukradł Miłoszowi
własną miał tylko pustkę
zachwiała się – nie upadła

puzzle

krążysz we mnie punktowo
w tle cienie przemykają kratkami
tam zanikam najbardziej

czynnik z czwartego wymiaru
mnożąc twój obraz od lustra do lustra
uszkodził rogówkę

liczę godziny i miejsca
dodaję słowa czytane w milczeniu
układanka przypomina jej obraz

nie ma mnie po twojej stronie ekranu

w kolorze

jego szarość
spływała po szybie
pisał czarno na białym ekranie
przebudzenie mówiło
jak składać słowa bez echa
przebłyski między cieniami
zajęły miejsce i czas na marginesie
szczeliny chronione bielą na wiosnę
przysypała kora z drzew
opadał pod ściółkę
z żółcią unerwionych liści dębu

ale przyszła w kolorze okna

„nie będę błagał chwili,
aby trwała”
Leszek Żuliński

gleczer

jesteś moim kamieniem
bryły nie proszą chwili by trwała
dotknij! obojętność nie zna czasu
wyrzytego na skale

trwasz w bezruchu
przemijalność nie troszczy się o uwagę
popatrz! pamięć staje się nieuchwytna
dla wymiaru materialnego

unosisz nade mną brwi
zmysły i wrażenia potęgują odpowiedź
poczuj! doświadczenie kształtuje lęk
przed tym co nieuniknione

czułość –
tylko ona błaga o trwanie chwili

rzut

jeszcze raz o kamieniu
zimny twardy pod stopami
leży omiatany przez wiatr

mówią że może być filozoficzny
to forma i materia w związku
zranionym stopom trudniej o ducha

paradoksalny ruch – kiedy
ucieczka skazuje na powrót
obraca się w kamień celtycki

mój kamień ten rzucony
położył się kamieniem węgielnym

„nie dam się przymierzyć kolejny raz”
Małgorzata Góralska *Zakrzyć*

garderoba

rozpinane guziki miały idealny kształt
pasowały do poręczy w jego schowku
rozbierał ją powoli mierząc każdy splot
chorą dłonią zakrywał plamy i blizny

pakunek na wymiar służył nocom i dniom
a najbardziej świtom po bezsennej nocy
potwierdzał idealną zawartość środka
ośmielającym się wątpić w szlachetność

stała w bezruchu zawiązana na kokardę
przykryta wieczkiem oklejona taśmą
na śmietniku leży tysiące opakowań
„nie dam się przymierzyć kolejny raz”

do dna

myślał że wolno mu mieszać
w cudzej filiżance lizać brzegi
patrzeć jak śmietana zabiela gorycz

myślał że wolno mu dotykać
miejsc które dłoń unosi szybciej
niż zapach pobudza do smaku

myślał że może kruszyć brzegi
coraz głębiej bez uszczerbku
aż do warstwy osadzonej na dnie

jego droga

kamuflaż

umiała
składać dłonie
jak modliszka do pacierza
wąchać kwiaty
maskując wewnętrzną nutę
kryć cechy gatunku
mimetycznym ubarwieniem
wdzięcznie czatować
dodając zdobycze do ofiar
płynąc ściekową rynną
omijała złamane skrzydła

pośród drapieżników
czasem występuje kanibalizm

zostanie z niej odwłok

tropizm

trawiąca myśl zmieniała go w ciężar
osiadł samotnie na dnie
uśpione brzemie pokrywało go rdzą
mniej wódki coraz więcej kwasu i soli

stan zapalny zamienił go w ból
wątroba i trzustka zalewały żółcią
na jesiennym bruku topił liście
w kałuży soków trawiennych

uszkodzenie dotykało początku
wraszało do korzeni gdy odeszła
trawienie objęło akt urodzenia
macocha trzymała pęk kluczy do nieba

nikt nie otworzył drzwi.

uchwył

nie był dobry
macocha zamykała przed nim chleb
on w jej zielonym płaszczu
(jedynym okryciu jakie miał)
strzelał z procy do okien
upokorzony szukał kamieni
gdy mówili na niego Zielonka

kradzione pomidory
kapały czerwonym sokiem
gęsty dym papierosów
wytyczał kierunek

z jabołem między palcami
przetańczył młodość na parkiecie
aż świtem obudził się
z dwójką dzieci u boku
i z nią
dziewczynki nosiły jego stare kurtki
ale nie strzelały z procy
kiedy zapijał dzień i opluwał wieczór
zdejmowały mu w ciszy onuce
miłość zamykała przed nim noże

kiedy powiedziała dość
a rozedma obudziła strach
zatrzymał się w połowie
zgarbiony
zdejmuje dziewczynkom skarpety
one oklepują mu plecy –
z czułością
codziennie usypia
tkwiące w nich DDA

z zapasem kremu nivea w szufladzie
(tak robiła matka)
wsparty na kulach mówi:
nie umrę
to życie mnie trzyma

wiersz o winie

on moczymorda
leży w bezruchu na śmietniku
plastikowa butelka jak karafka
o najszerszym dnie pachnie mu
nutą czerwonego wina
powoli krzepnie krew wokół nozdrzy
zwierzęcego wężu konesera
smakował życie sączył piekielną moc
z jej oczu ud piersi z jej rozmodlenia
nieskazitelnie dobraną temperaturę
męskości zamknął w kielichu
odeszła z przekleństwem
ostatniej butelki
porzucony nagle stracił odporność
na zimno gdyby został menelem
wygrałby każdą walkę
przyjąłby każdą pozycję
wypiłby wszystko do dna
bez uszczerbku

ale on grał
jej struny nie pozwalały upaść
jak wino był winny

zawiązek

skulona w kłębek toczyła się bezszelestnie
mieszkała w środku splotu w bólu zawiniętym
na dobre i na złe zbyt często na złe

rozbite dźwięki drgały jak szarpanie strun
układał nutki niedbale poza jej ciałem –
raz ciszej zbyt często głośniejsz od szumu

prosiła aby dzień zaczynał od światła
wtedy zagubionych łatwiej odnaleźć
uciekał nocą przed widokiem sznura

nie kochał

strefa świętości

nie chciała tego
skalpel pokroił resztki bólu
bandaże chłonęły krew
z każdym szwem
zrosty kształtowały krzyż
oznaczona gniewem
podnosiła modlitwę z podłogi
bezradność wsparta na kulach
stała zalękniona w oknie
spływające krople topiły lód
ale poślizg zamykał drzwi

z każdym paciorkiem
jutro niosło zmartwychwstanie
nie odeszła

siostra

urodziłeś się z dziurą w sercu
matka nie zgodziła się na łątanie
życie podarowało sine policzki
zdobywałeś schody bliżej Boga bliżej nieba

dłoń siostry miała kolor paznokci
zaciśniętych na kartkach katechizmu
gdy prosiła o dzień dla ciebie
gładziłeś jej złote włosy

zapach życia chusteczki i pieluchy
drażniły śluzówkę oliwka koła lęk
przed słabością nadgarstków
oklepywanie pachniało bliskością

leżałeś z pozszywanym sercem
z wyboru sinią ci stopy nie było
anioła gdy prosiła o twój dzień
dziewiętnaście lat na decyzję

anioł został sam

zadra

takim żalem możesz uderzać
o ścianę albo ciosać go nożem spalić
rzucić na bruk pod końskie kopyto
niech ugrzęźnie w miękkim łajnie
możesz się tym żalem gryźć
albo spędzać nim sen z powiek
przewracać na boki cedzić przez sito
pokonywać własnym oddechem
ale nie możesz go spuścić ze smyczy

uwolnione psy gryzą na ośle

„Niech to skryje, pochłonie żywioł, nim z trzepotem
zawiśnie jak pustułka na gzymsie starej kamienicy”.
Łucja Dudzińska

bez wybaczenia

boisz się nie wiesz z której strony
przyjdzie aby brać zamykać i odwracać
obracać wokół własnej osi deptać
z każdym krokiem nowe ślady łapią trop –
wnyki i sidła zastawiane są na wymiar

mówi że słowo pływa lizane przez języki
że najcięższe utrzymuje stałą wilgoć
odruchy wymiotne i obrzydzenie stoją
ością w gardle tnąc okrągłe na połowy –
gorycz smaku przetrawiona wielokrotnie

bez wybaczenia –
zawieszysz się na gzymsie

księga

nie było żadnego przepisu
na ten smak
w kąciku przy kominku
słowa grzały kamienne ściany
poeci
na stołach czytali z życia
Bóg czuwał w kapliczkach
siostry otwierały drzwi

przekraczając samotnie próg
słuchała nowego
szczęśliwa
był nieoczekiwanie obok
niestrudzenie otulał kocem
prowadził ścieżką
unosił spojrzeniem słuchoł
gdy rozpalił dla niej w kominku
usłyszeli ją
– poczuła że jest

to był czekoladowy czas
z wierszem jak wisienka na torcie

dla Łucji

przyjaciółka

wyspa

otoczona ze wszystkich stron nie jest skałą
na jeziorach woda kształtuje brzegi spokojnie
łabędzie wypełniają ciche fragmenty sitowiem
w naturalnej samotności przyływy są szczęśliwe
błękit i piaszczyste obwody masują jej stopy

na morzach fala zanurza powierzchnię z solą w oku
podwodne wulkany trzęsienia ziemi wyspy koralowe
tworzą szczeliny rzeźbiąc twarz na kształt smutku
zimny prąd nie uleczy powstałych uszkodzeń
niesione osady gromadzą się na całym obszarze

odkryć tę wyspę to chcieć zamieszkać na niej

po między kręgami

nie wiem gdzie on mieszka
widzę go między gałęziami drzew
ukrytego w zieleni
czasem zakrada się za oknem
w mglistym poranku
wieczorami tli się między
błyskami monitora
czasem czuję go w brzuchu
albo między kręgami
w skroniach i w nadgarstku
ale najczęściej bywa w uścisku
nie wiem gdzie mieszka

mój smutek

upływ

upinając jej siwe włosy słuca z miłości
już wie że umiejętność odpowiadania na życie
maleje z upływem czuje jak postrzępione brzegi
nieodwracalnie gromadzą uszkodzenia

zbierając liniejącą sierść przysiada na pniu
gładzi szorstkość powierzchni rdzewiejącej skóry
bieleją miejsca droga w zaniku prowadzi
przez wątrobę i trzustkę coraz mniej kwasu

zaszyć poszarpane brzegi – nie zablźniać
trzask nap otwiera rdzeń a w nim echa
zaszyć w sobie wytrzymałość – nie wypełniać
rozdarc bez poprawek w sobie z miłością

dla taty

ojciec

nie żongluje już i nie tańczy
dla podziwu regulował rytmem
na lewo i bardziej na prawo
dla nich nosił ciężary –
rosły
wstydziły się gdy kopał piłkę
za wysoko za daleko
w deszczu chował je za pazuchą
stawał na ringu chełpiąc się
złamanym nosem
gdy drzewa dojrzały w ogrodzie –
kurczył się

nie myśleć nie teraz
tulić się do opadających liści

czuwanie

nie proszę abyś wzięła mnie
na kolana – ich kruchość okryję kocem
usiądzmy obok
pamiętasz mówiłaś że bieg po bruku hartuje stopy?
warkocze wciąż są za krótkie
w koszyku wielkanocnym dawna ilość soli i chleba

nie proszę abyś nosił mnie na rękach
pomogę ci włożyć koszulę
popatrzmy razem
pamiętasz jak mówiłeś że nogi prowadzą najpewniej?
przed nami wiele skrzyżowań w cukierni za rogiem
dawny zapach karmelu

bądź! bądźmy – proszę

smak jutra

raz do roku rozdawałaś smak lepszego jutra
banan dzielony na cztery i daktylę na dwa
plasterki dzieliłaś sprawiedliwie
opłatek zadziwiał brakiem smaku

codziennie spijaliśmy kożuchy z kubków
wypełnionych przelewającym się mlekiem
pomarańczowy kolor pieca był cieplejszy
od mroźnego świtu nad puchową kołdrą

nie prowadziłaś przez próg zabłocone buty
zostawały za drzwiami – odwrócone deszcz
moczył je od strony podeszwy na kolanach
nie brakowało miejsca do przytulenia

nasze dzieci wracają do domu

atrofia

stare ramy obejmują płótno
myśli kreślą matowy obraz:
macocha stragan żona dzieci
i pani Krysia z chustą na głowie

z kolorów rozróżnia pudełka:
na serce na udar na rozrzedzenie
na przepływy w żyłach
i to największe – na ból

kręgosłup przygniata ciężar
pamięta worki z piaskiem
dziewczynki na ramionach
i bieg do niej roześmianej

żyć jeden dzień dłużej
żyć dla wypełnienia obrazu

ze starej miłości

wybaczenie dało jej siłę
by na jego pasku zawieszać kartki
ze spisem potrzeb
wózek zatacza krąg między drzwiami

skrucha dała mu siłę
by udar nie zatarł sensu jej słów
uszkodzone komórki mylą
daty nazwy i kierunki

budzi się by zawieszać kartki dla niego
budzi się by czytać jej słowa
ze zrozumieniem

jarzmo

z brzemion zapomniała
uczucie ciężaru ciała czas spędzony
na wózku zmienił wagę nacisku

kroplami do oczu przemywa obraz
plamy pokryły większość skóry
oklepywanie łagodzi szorstkość dotyku

zniekształcone obrzękami kolana
utraciły wiotkość i powab
miejsce do tulenia dzieci – skruszało

ze wszystkich staroci
czułość jego głosu odmładza najbardziej
dom mają nadal wspólny

dziękuje
za kolejny dzień narzekania
za tę okropną starość

matuzal

strach

ma nad głową pająki i mocne sieci
połamane lotki przy uwieczonych skrzydłach
wielkie oczy i mysi ogon
schowane pod dywanem okruchy

strach

ma niedobry sen i wieczorne ciemności
chrobot starych mebli i niedomknięte okna
cichy żal i niemy krzyk
ukryty w niemocy paraliż

on

ma buty gotowe na nieznane światło
w tunelu kule do porzucenia
trzyma przy łóżku na teraz
wstanie gdy ona przyjdzie

przymknąć oko

można by przymknąć oko na przyczynę bólu
ciągnąć szczęście za sznurek albo za łańcuch
ogniwami skutecznie łączyć bezdech i wytrzymałość
aż do wczesnego rozpoznania niepokoju

można by omijać wyrwy w chodnikach
biec na przełaj mosty zostawiając najślabszym
kochać cię jak krople słońce i ból
między wodą ogniem a udręką

można by wybaczać sobie godziny oddalenia
przejścia w ciszy na drugą stronę rzeki
palcami stóp dotykać upragnionych miejsc
gdzie niebo usłane gwiazdami – gaśnie

można by żyć między jednym a drugim bólem?

rodzice

nie chce już słów o tym jak odchodzą
wszędzie biel na czerni białe plamy
gładzi pomarszczone prześcieradło
gdy wsparci podnoszą się z kolan

zamyka myśli w pluszowym misiu –
sposób na wypełnianie luk z dzieciństwa
za wcześnie zbierać pył za późno palić
niewypowiedziane słowa teraz cisza

wszędzie miłość

wiersz o morzu

stalowe cielska wraków
zaklinowane kadłubami na wieki
obejmują zagubione plaże

smukłe skrzydła mew
pokonując wiry powietrza
szybują pomyślnie

ciężar rzuconego kamienia
ze śladami zranionych stóp
za burtą traci znaczenie

na głębokościach siła
wyporu zamkniętych drzwi
zwiększa ciśnienie ku górze

między wydrami
gdzie wiatr usypuje wzniesienia
zrastają się splecione dłonie

na granicy ukrytego z widocznym
biegnie dziecięca ufność
widząc horyzont w zasięgu ręki

powiedział że –
morze pochłonie wszystko

spis treści

przesunięcie	5
na dwa	6
poczęcie	7
tak samo	8
dopamina	9
czterolistna biżuteria	10
jeden dzień	11
pamięć	12
mchy	13
nie erotyk	14
przedproże	15
puzzle	16
w kolorze	17
gleczer	18
rzut	19
garderoba	20
do dna	21
kamuflaż	22
tropizm	23
uchwyt	24
wiersz o winie	26
związek	27
strefa świętości	28
siostra	29
zadra	30
bez wybaczenia	31
księga	32
przyjaciółka	33
po między kręgami	34
upływ	35
ojciec	36
czuwanie	37
smak jutra	38
atrofia	39
ze starej miłości	40
jarzmo	41
matuzal	42
przymknąć oko	43
rodzice	44
wiersz o morzu	45

Copyright © Dorota Nowak
Copyright © Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK
Copyright © Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna
Copyright © Grupa Literacyjna Na Krechę, Łucja Dudzińska

Projekt okładki, skład: Joanna Kulhawik
Rysunek na okładce: Marek Konecki

Korekta: Agnieszka Repczyńska

Wydawca:
Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Urząd Miasta Krakowa
Plac Wszystkich Świętych 11
31-004 Kraków

ISBN 978-83-917509-X

Tomik wyróżniony w konkursie Gminy Miejskiej Kraków
na Książkowy Debiut Poetycki 2014
w ramach projektu NOC POEZJI 2014

KRAKÓW 2014

